

Nr. 12. Cieszcie się łubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci! 15. Czerwca

Majówka w Krakowie.

W zeszłym miesiącu wypadło mi być za interesem w Krakowie. Zajechałem do dawnego znajomego, pana Karola, kupca i obywatela miejskiego. Gdym się rozgościł z podróży, wyszliśmy razem na miasto. Aż tu patrzymy tłum wielki ludzi, wszystko spieszy ku rynkowi.

— Może gore — mówię do pana Karola.

— Broń Boże, odparł Karol, to musi być jakaś uciecha, bo przecież słychać muzykę i spiewanie na rynku.

Przyszliśmy na rynek, a tu wielkie mnóstwo ludu, a we środku stało z tysiąc chłopaczków z chorągiewkami, w parach.

— Co to znaczy? Gdzie to bractwo się wybiera tak postrojone i tak wesoło? pytam pana Karola.

Mój przyjacielu, odrzekł Karol, dziś Majówka. Profesorowie chodzą ze studentami bawić się raz do roku za miasto do ogrodu. Chodźmy za nimi, to się przypatrzymy.

— Oj pójdę na koniec świata za tymi żakami, a jak mi też żal żem swego chłopca nie przywiózł, ażeby się był napatrzył tym studentom i z nimi razem zabawił.

Zaspiewali wszyscy razem na rynku i ruszyli przez miasto, potem przez błonie do ogrodu na wieś, a my za niemi. Całą drogę spiewali różne pieśni, z których nawet jednę spamiętałem:

Rolnikiem czy rzemieślnikiem,
Żołnierzem czy urzędnikiem,
Rozum trzeba mieć,
Bo jakiejż dokaże sztuki
Pan lub mieszczan bez nauki?
Coż dokaże kmieć?

Dopiero w tym ogrodzie było się czemu napatrzeć. Najpierw pozasiadali na trawniku, każdy dostawał to z kieszeni, to z torbeczki, co miał do zjedzenia a profesorowie rozdawali im mleko w szklankach. Coraz więcej przybywało ludzi z miasta, a byli to rodzice, krewni i przyjaciele studentów i profesorów, każdy szedł żeby się tej zabawce przypatrzeć. Mój towarzysz kupiec wdał się w rozmowę z jakimś znajomym profesorem, a za chwilkę zbliżył się ku nam i ksiądz, po którego mowie poznałem, że to był katecheta tych uczni ów i zapytałem go:

— Ojcze duchowny! Czy to ci studenci i profesorowie są z jednej szkoły?

— Nie, mój obywatelu, odrzekł ksiądz. To są studenci i profesorowie z trzech szkół, a z każdej może po 300 chłopaków.

Zebraliśmy się tu wszyscy razem żeby się młodzież przy nas zabawiła. Zabawa po pracy jest miła i pożyteczna, bo dodaje ciału i duszy sił i wesołości. Pójdźmy dalej w ogród i przypatrzmy się tej zabawie.

Obchodziliśmy wszędzie. Chłopcy na jednem miejscu bawili się niby w żołnierza, w drugiem znowu w piłkę, tam znowu kołysali się na linach, skakali, a w innem miejscu stało ich w kółku ze stu i spiewali jakby w organy grali, a mniejsi biegali, podskakiwali i krzyczeli:

„Niech żyją kochani nasi profesorowie!“

Gdy się już chłopcy do sytu nabawili, zastawiono znowu dwa wielkie stoły z różnem jadłem. Zasiadło kilka pań a zauważyłem, że to były żony profesorów i matki niektórych studentów i zaczęły rozdawać traktament. Najpierw wzięła się starszyzna do tych darów Bożych a i mnie zaprosili.

Ośmielony grzecznością tych panów pytam jednego dyrektora:

— Któż to ten bankiet funduje? Bo jak ja uważam, toby jednego nie stać było na tyle.

— A pewnie, odrzekł dyrektor — toby jednego zbyt wiele kosztowało. Z nas każdy dał na to cokolwiek, a najwięcej postarali się o to bogatsi rodzice niektórych studentów.

Znowu zaczęły się zabawy i gry różne a wszystko z taką przyzwoitością i serdeczną wesołością, że się miło było na to patrzeć. Pod wieczór chłopaczki postroili czapki dębowemi listkami i na głos nauczycieli stanęli wszyscy w pary, gdyby wojsko. Zaspiewali i ruszyli ku miastu. Na błoniu zapadła noc. Tu dopiero zaczęły się prawdziwe sztuki. Jakiś sztukmistrz z miasta puszczał sztuczne ognie aż pod samo niebo, a to tam w górze trzaskało, albo młynka latało, a iskry jak gwiazdy zielone, czerwone, niebieskie i Bóg wie jakie rozlatywały się w około. Potem zapalili studenci paręset różnobarwnych latarni papierowych i przy takiem oświetleniu wszystko postępowało wesoło ku mia-

stu. Księżyc wschodził za Wisłą, jakby wyszedł na przywitanie tego młodego pokolenia. W Krakowie na rynku stanęli wszyscy śród tłumów zgromadzonego ludu i zaspiewali na podziękowanie Panu Bogu za dzień tak mile spędzony pieśń: „K t o s i ę w o p i e k ę“ i rozeszli się na spoczynek, a mnie pan Karol wziął do siebie na nocleg.

Sk. z. R.

WSPOMNIENIE
poświęcone
znakomitszym w historji naszej Polkom.
(Ciąg dalszy).

Redość z tego związku powszechną była w narodzie, wszyscy rokowali dla kraju pomyślność pod nowem panowaniem, życzono też szczerze Batoremu tak zacnej małżonki. Anna w pożyciu domowem nie była jednak szczęśliwą. Poddani prawdziwą czcią ją otaczali, Stefan Batory przyznawał jej zasługi na jakie ze wszech miar zasługiwała, szpetna jej jednak powierzchowność czyniła mu jej widok nieprzyjemnym. Czuła Anna zbyt żywo przykry ten z mężem stosunek i dla tego najbardziej w Warszawie przebywać lubiła; w dzisiejszym Ujazdowie miała swój letni pałac i tam spędzała najszczęśliwsze dni życia swego. — Mając wpływy na rządy państwa, przyjmowała tam znakomite osoby, będące u jego steru. Anna Jagiellonka słynną była z swej dobroczynności, dla ubogich jej drzwi i serce zawsze były otwarte, a z zacnych domów dziewice polskie wyposażone przez dobroczynną królowę wychodziły za mąż. — Każdy z ówczesnej młodzieży miał sobie za szczęście pojąć za żonę wychowankę Anny Jagiellonki, w niej bowiem znalazł te cnoty, któremi jaśniejąca kobieta jest prawdziwym aniołem na ziemi. — Rzeczywiście dom Anny Jagiellonki był dobrą szkołą dla młodych Polek, z całą surowością cnota i obyczaje przestrzegane

na nim były. Po zgonie Stefana Batorego oczy całego narodu na królowę się zwróciły, jako na ostatnią gałązkę Jagiellońskiego szczepu. Sulikowski, zacny mąż w narodzie, ofiarował Annie różę, poświęconą przez Syktusa V. papieża, zasiadającego wtenczas na stolicy Apostolskiej. Anna Jagiellonka daleką była od przyjęcia wyższej władzy, wsparta radą Jana Zamojskiego, wielkie mającego znaczenie w całym narodzie, uznała Zygmunta III. siostrzeńca swego za króla. — Trzeba Wam wiedzieć czytelnicy młodzi, że jedna z dwóch sióstr Anny Jagiellonki Katarzyna była żoną Jana króla Szwedzkiego. Zygmunt III. był jej synem a przeto siostrzeńcem Anny Jagiellonki, która nie znalazła w Zygmuncie tego, co znaleść pragnęła. Zimny, obojętny, nie wypłacał się ciotce wdzięcznością jaką jej był winien. Przytem Zygmunt III. chociaż z matki Polki pochodził, nie miał nic polskiego w sobie, na jego dworze nie było śladu staropolskich obyczajów. Annę Jagiellonkę żywo miłującą wszystko co rodzinne, co polskie, raziło zaniedbanie tych obyczajów, niechętnie przeto bywała na dworze siostrzeńca swego, a zawiedziona w swych nadziejach, pociechy szukała w użytecznych dla kraju zajęciach. Niezadługo doczekała się wnuka w nowo narodzonym Władysławie IV., i pomimo tego że była jego matką chrzestną, nie potrafiła doprowadzić do tego aby usunięto niemieckie wychowanie w jakiem to dziecko wzrastało. — Doczekawszy się późnego wieku Anna Jagielonka zakończyła nie zbyt szczęśliwy swój żywot roku 1596. — Wpływ jej na naród cały niezaprzeczenie był wielki i przeważny; za niej bowiem dawne obyczaje przechowywały się po domach polskich. Z śmiercią niestety ostatniej z rodu Jagiellonów, znikła ta prostota obyczajów, którą odznaczały się domy praojców naszych. Inne zupełnie nastały zwyczaje, inne zawiązały się stosunki a za niemi niezliczony szereg klęsk, jakie do dziś przechodzimy.... Anna Jagiellonka zostawiła nam po sobie wiele pamiątek. Najpierw założyła bractwo Św. Anny w klasztorze OO. Bernardynów w Warszawie, które istniało do chwili zniesienia klasztoru.

Poźniej dokończyła kaplicy Jagiellońskiej na Wawelu, którą Zygmunt I. rozpoczął. Potem wystawiła małżonkowi swemu wspaniały pomnik na Wawelu. — Przy wejściu do kaplicy Jagiellońskiej w Krakowie, Anna Jagiellonka wystawioną jest w dwóch wizerunkach, jeden z nich przedstawia ją w koronacyjnym stroju z złotem jabłkiem w ręku; drugi zaś w wdowiem ubraniu. — Pamięć jej uczcił pogrzebową mową słynny nasz kaznodzieja Piotr Skarga.

(*Dok. nast.*)

Stary myśliwiec.

Co tam! co tam mnie staremu
Pleść koszałki, pleść opałki!
Eh! ja strzelam po dawnemu,
Nie z pistonów ale z skałki.

A czy kulą, czy lotkami,
To tam dla mnie wszystko jedno!
Przed dzikami, niedźwiedziami
Lica moje nie pobledną.

Ha! mospanie, spytajno się
Wiele żubrów w Białowieży,
Wiele wilków w Kampinosie
Z mej rusznicy trupem leży?

Ale co wam prawić o tem?
Dzisiaj młodzież wasza taka
Że bez jadła pod namiotem
Nie wyruszy na szaraka.

Za mych czasów, mości panie!
Biegos w torbę, gdańskiej flaszka —
A tam słota niewyspanie,
Mróz, zawieja, wszystko fraszka.

A to dzisiaj wielkie łowy
Chowanego zbić rogacza!
Albo w dzień Bartłomiejowy
Marcowego uszczuć gracza!

Strasznie długie polowanie!!
Od dziesiątej do południa —
Potem siędą na śniadanie
I szampana pęka studnia.

Zadyszani i snem zdjęci
Leżą kołem na murawie;
Pomęczeni i z nóg ścięci
Jakby z Bartkiem po rozprawie!

O! Rejtanie, mój kochanku!
Co cię znają Naliboki,
Z łowów każdy brat w zaścianku
Od Korony het za Troki.

Gdybyś spojrzał z pod mogiły
Na ten zbytków szereg długi,
Ach! czy miałbyś tyle siły
By nie skonać po raz drugi?

K. Brz.

Leśniczy.

(*Dokończenie*).

Wielkie bo to są jeszcze lasy i puszcze w tej naszej Polsce! Lasy Karpackie i Białowieska puszcza na Litwie — są to jeszcze pierwotne, siekierą nietknięte olbrzymy, w których mają się znajdować tak ślicznie przez Mickiewicza opisane mateczniki zwierząt, dokąd sęp, jak mu się dziob całkiem zakrzywi, że nie może przełknąć żeru, dzik jak straci kły, jeleń stary rogi, zając gdy pobieleje ze starości, a niedźwiedź zetrze pazury, przenoszą się, uchodząc oka i strzelby myśliwca, ażeby w tem ustroniu spokojnie życia dokonać mogły. Drzewa w tych puszczach, o których wielkości, kto ich nie widział, zeledwo słabe pojęcie mieć może, wyrastają do nadzwyczajnej grubości i wysokości — i nic szczególnego zobaczyć tam jodłę mającą dwa do trzech łokci średnicy, na sto i więcej stóp wysoką, na której wierzchołku obaczyć można wabiącego głuszca, na którego polowanie tak niewdzięczne, połączone bowiem z ogromnemi trudami, a wcale niewynagradzające się, gdyż mięso jego twarde, chude i wcale nie smaczne. Białowieska puszcza jest także jedynem miejscem gdzie się znajdują żubry, których z resztą nigdzie w całym świecie widzieć nie można. Puszcze te pełne są jeziór i trzęsawisk, służących za schronienie rozlicznym płazom i gadom. Po tych jeziorach małemi czółnami przeprawiają się ludzie do swoich rozrzuconych po puszczy siedzib, jak to widzicie na załączonej rycinie. W takie to niedostępne miejsca zapędza się nieraz leśniczy myśliwiec, jednakże życie to jego pracowite i czynne wśród przyrody nie ujmuje lecz dodaje zdrowia, i najczęściej zdarza się widzieć leśniczych w podeszłym bardzo wieku zdrowych i czerstwych, z całą siłą młodzieńczą, co jest najlepszym dowodem że ciągła praca i umiarkowany sposób życia nie tylko zdrowiu nie szkodzą, ale nadto przedłużają one i czerstwą zapewni starość.

Ant. Zim.



PUSZCZA BIAŁOWIESKA.

Północne okolice ziemi.

I.

Wszystkie okolice ziemi; około północnego bieguna leżące, wieczny śnieg i lód pokrywa. Ośmiomiesięczna uporczywa zima wznosi góry lodowe, których krótkie, bezsilne lato stopić nie zdoła. Jeżeli pływające bałwany lodu o siebie uderzą, wtedy powstaje huk, że zaledwie żeglarz własne słowo dosłyszy. Często postrzeżesz płomień między górami lodowemi; powstaje on z gwałtownego tarcia i zapalenia się wmarzniętych w lody pni drzewa. Niezmierne rozległością skały lodowe roztrącają się z niesłychanym trzaskiem w ogromne odłamy; przez co wzburzone morze tak silnie miota bałwanami i napiętrzonemi masami lodu, że nawet w dosyć znacznej odległości płynącym okrętom widocznem grożą niebezpieczeństwem. Nadto woda wyżłobia, podrywa stopy gór lodowych, dopóki nie zapadną się w morskich przepaściach. Gdyby ta niszcząca siła nie gruchotała tych zamarzłych olbrzymów, to bezsprzecznie pola lodami pokryte wzniosłyby się nad najwyższe szczyty stałego lądu.

Lecz właśnie tam, gdzie natura obumierać się zdaje, tam jej potęga najdzielniejszą się okazuje. Coraz nowsze, wspanialsze występują kształty i postacie na zmrożonej ziemi. Tu piętrzą się niebotyczne góry, rozpadają się ogromne masy lodowe i tworzą niezliczone szeregi wszelkiego porządku słupów, lśniących się światłem szmaragdów; w najwyższych dziedzinach wznoszą się sklepienia, mosty przepychem, wspaniałością i śmiałym pomysłem budowy tak zadziwiające, że i wielkim geniuszem obdarzony budowniczy nie podołałby nawet zbliżyć się podobieństwem do tych cudnych utworów natury. Tu widzisz rozległe powierzchnie jasnem iskrzące się światłem i wszystkiemi kolorami tęczy ubarwione; tam znowu roztwiera się czarna otchłań jaskiń i niezgłębione przepaści, do których nigdy promień słoneczny nie zajrzy.

Z płodów ziemi w tych okolicach mchy są najznaczniejsze. Udają się na najlichszym gruncie opoczystym, służącym im tylko do przyczepienia się na nim; wilgoć powietrza utrzymuje byt ich. Ważniejsze są korzyści ze zwierząt tam zamieszkałych. One tylko jedynie dłuższy pobyt w tych podbiegunowych okolicach znośniejszym czynią. Płynna tłustość (tran) z wieloryba jest dla ludzi w tym kraju lodów wybornym napojem, a prócz tego używają go jeszcze do oświetlenia, a nawet do ogrzania swych mieszkań. Kości tego olbrzyma z królestwa zwierząt służą do budowy chat, na belki do podparcia. Jeszcze użyteczniejsze są psy morskie; dostarczają bowiem daleko obfitszego pokarmu i cieplejszej odzieży, jedynie przed straszliwem zimnem ochronić mogącej; skóry ich także użyte są do pokrycia chat na podobieństwo namiotów stawianych, jako też i łodzi, a wreszcie wyrabiają z nich rozmaite do potrzeby domowej służące sprzęty. Wprawdzie wieloryby i psy morskie we wszystkich prawie znajdują się strefach; najzimniejsze jednak morza i wybrzeża są najwłaściwszą ich siedzibą. Lody biegunowe chłodzą ich gorące i łatwo zapalne soki; miljony drobnych stworzeń morskich dostatecznem są dla nich pożywieniem. Kilkumilowe piaszczyste ławice, jak gdyby umyślnie wzniosły się tu dla wychowania dogodnego płodu niezliczonej liczby zwierzątek morskich, które stają się łupem ogromnych potworów. Obfitość tych mniejszego rozmiaru istot tak jest wielka, że nawet najgromadniejsze zastępy ptactwa wodnego, bezustannie przez te lodowe obszary przelatujące, rozlicznego pożywienia znajdują dostatek.

II.

Groźne niebezpieczeństwa czekają śmiałego żeglarza, jeżli na morze północne zwróci swój statek. Ostrokończaste z wody wystające lodowe haki nie rzadko rozdzierają boki okrętu, za niebacznem zbliżeniem się do nich. Wiatrami gnane pędzą ogromne masy lodowe z szaloną chyżością, po wzburzonej wód morskich płaszczynie, a biada tym, co wyprawiwszy się na

połów wielorybów, zgubnego zetknięcia się z temi zmarzłemi skałami uniknąć nie zdołali. Statek, w całem znaczeniu tego wyrazu, rozstrzaska się w kawałki, a drzewo częstokroć przez silne a nagłe tarcie zajmie się płomieniem; a za szczęśliwy przypadek poczytać sobie należy jeżli się go z wody dobędzie i na bok przewróci. Całe tygodnie jak spętany w więzieniu przebędzie, dopóki nowy wydmuch wiatru nie pogruchoce mas lodowych, i sposobnej mu do wypłynięcia nie nastręczy sposobności. Ale zdarzyć się może że krótkie lato tymczasem minęło, a okręt przeciw srogości zimy nie był należycie zaopatrzony, wtedy mu już ostateczna zguba zagraża.

Największem niebezpieczeństwem są pomniejsze bryły lodu, w czasie burzy w ruch wprawione. Lód podbiegunowy jest twardy jak kamień, jak skała granitu. Masy te lodowe wśród wściekłej burzy przeciskają się przez wąski wodny gościniec; z łoskotem przeciągłego grzmotu uderzają o siebie, gruchocą się wzajemnie, a przez zapadanie się w otchłanie, ryją posadę morską i wysoko w górę gęste piany miotają. Wtedy w tak groźnem wichrzeniu żywiołów, nieszczęśliwy żeglarz na najprzykrzejszą jest skazany bezczynność. Szczęśliwy jeżli wpośród poświstów wichrów i ryku fal morskich nie straci przytomności i nie zaniedba chwili ratunku, jedynej może, jaka mu się nastręcza. Jego nawet przewodnicy, którym się na otwartem morzu jedynie powierza, opuszczają go; bo wśród skwarnego lata światła niebieskie posępnemi pokryte obłoki, a gęste mgły zalegają wybrzeża. Żeglarz biegnie do kompasu dla rozpoznania kierunku drogi; wszystko daremnie! ociężała igła niezmiennie wskazuje na kraniec okrętu. W bliskości bieguna północnego stracił już magnes swoją kierunkową siłę, a okucie żelazne tramu silniej go trzyma na uwięzi, niż jego własny biegun.

W dalekiej północy przez trzy miesiące, przez całe tak zwane lato, słońce nie zachodzi. Widać je na długim dniu bardzo nisko na niebie; świeci wprawdzie, ale nie grzeje; bez żadnej nawet niedogodności można patrzeć na jego blade promienie.

Zwykły jednak porządek w następstwie pory dnia zawsze postrzegać się daje. Jeżeli słońce na jednej stronie sklepienia niebieskiego nachyli się do widnokręgu, to wtedy spoczywa natura; jeźli zaś w kilka godzin potem znowu się podniesie, to ptaszęta ochrypłym głosem witają dzień nowy; skulony kwiateczek śmielej swój kielich otwiera i wszystko co żyje poddaje się wpływowi silniej działających promieni. W ostatnich dniach Maja, na Szpicbergu, Nowej Zemli i innych wyspach lodowatego morza wypuszcza karłowata wierzba maleńkie listeczki; na wybrzeżach zaś ku południowi położonych, pokazuje się nawet blada zieloność. W Czerwcu w samo południe zaledwie jest 18 stopni ciepła; krzaki jagód zaczynają kwitnąć. Lecz bardzo często mroźny wiatr morski zwarzy kwiat i nikłą zieloność; w Lipcu dopiero bywa powietrze pogodne i łagodniejsze; ale natychmiast z zaczęciem tego miesiąca niezliczone ukazują się komary, które zaciemniają powietrze i są dla ludzi utrapioną plagą. Palenie tylko spadłych z drzew liści i wilgotnego mchu te naprzykrzone owady odstrasza. Ale i one nie są bez użytku; znaglają bowiem dzikie reny do opuszczenia lasów i chronienia się na otwarte i zimne wybrzeża morskie; przez co niemałą podbiegunowym mieszkańcom wyświadczają usługę. Gdy te użyteczne zwierzęta tysiącami rzeki przebywają, wtedy myśliwi wypadając z zasadzek, wielką z nich korzyść odnoszą. Gdzie jest sposobność utrzymywania koni, tam tłumy komarów zastępują miejsce pasterza, zmuszając je do pozostania w pobliżu żarzącego się ogniska, dla uniknienia napaści owadu.

W okolicach podbiegunowych od Września już zaczyna się zima. Jednakże w tym i następującym miesiącu wznoszące się z morza wyziewy łagodzą jeszcze ostrość powietrza, ale w Listopadzie dopiero zimno w całej swej występuje sile, a wzmagając się, często w Styczniu do 40 stopni zimna dochodzi. Wtedy oddech jest utrudniony; reny kryją się w najgłębsze zarośla lasów i tam niemal zmartwiałe pozostają. Długa noc puste zaległa niwy, a jedynie znośną ją czyni białość śniegu i zorza

północna, to najwspanialsze zjawisko natury w zimnej strefie ukazujące się w całej swej okazałości.

III.

Zorza północna jestto płomienista czerwoność, w nocach zimowych od północnej strony na niebie świecąca. Zajmuje ona niekiedy połowę prawie nieba, w gorejąco krwistym kolorze, a ciągle w falistym ruchu tak łudzącym, że niekiedy z miejsc pobliskich z sikawkami przybywano na obronę mniemanego pożaru w sąsiedztwie; niekiedy zaś te światła bywają mniejsze i słabsze. Na przeciwnej półkuli ziemskiej takie samo światło daje się widzieć od południa. Zjawiska te na obudwóch biegunach ziemi zupełnie są jednakie, dla tego nazwa: światło biegunowe, jest właściwsza, niż zorza północna lub zorza południowa. W właściwej swojej strefie, w krajach lodowatych podbiegunowych, pokazuje się szczególniej w całym swoim przepychu i blasku. Świadek naoczny opisuje to zjawisko w tych słowach: „Naprzód jasny obłok zajął połowę nieba, z którego występowały prostopadłe słupy światła, naprzemian białej i czerwonej barwy, aż do samego widnokręgu. Około północy wierzchnia część tych słupów zmieniła się w ogniste snopy, z pośrodka których wybiegały strzały jak rakiety. Po północy znowu potworzyły się słupy, w dziwnie cudnych rozmiarach uporządkowane, równie i najświetniejsze mnóstwo piramid, płomieni, snopów i kul ognistych. Noc zamieniła się w jasny dzień, mogłem list czytać równie dobrze jak w południe. Nieznacznie znikł ten ogień niebieski; ale noc była już widna aż do poranku. To przepyszne zjawisko samym nawet gwiazdom przysparza piękności. Błyskają bowiem przez faliste onego promienie z większą daleko świetnością; niekiedy wydaje się całe niebo iskrami zasute. Nic wspanialszego wyobrazić sobie niepodobna nad owe różnobarwne strumienie światła, z niepojętą szybkością rozciągające się po całem niebie, zdobiąc je niejako nasadzoną drogiemi kamieniami powłoką. Całe niebo podobne wtedy do jaśniejącej kopuły, na różnobarwnych

wspartej filarach. Ale to jakkolwiek cudne widowisko, wzbudza niejaki przestrach, bo wpośród tego wszystkiego, słychać niekiedy wyraźne syczenie, lekki szum, oraz huczenie i turkotanie, podobne do trzasku przy ogniach sztucznych. Strzelcom polującym na niebieskie i białe lisy nad morzem lodowatem, często rzeczywiście przedstawia się widok świateł polarnych; wtedy ich psów tak wielki przestrach ogarnia, że padając na ziemię, z miejsca ruszyć się nie chcą, dokóki gruchotanie w powietrzu nie ukończy się ciszą zupełną".

Z historji naturalnej

BORSUK.

Bojaźliwość i ociężałość, złośliwość i zamiłowanie w samotności, oto borsuka przymioty. Takim jest w całej Europie, gdziekolwiek przebywa; takim w umiarkowanych strefach Azji, gdzie także nie jest rzadkim. Ma półtrzeciej stopy długości, ledwie 15 cali wysokości i waży 25 do 30 funtów. Nogi jego, porosłe długim szczecinowatym włosem, wydają się przez to krótszemi jak są rzeczywiście. Ma głowę szpiczastą, ciało ku tyłowi coraz szersze i grubsze, włos białawo szary, w którym przebija żółty i czarny. Na nosie ma czarny pasek, który przez oczy ciągnie się ku uszom. Z tyłu ma torebkę, która zawiera masę białawą i tłustą, wydającą nieprzyjemną woń. Ostrożny aby się nie stał łupem człowieka lub jakiego drapieżnego zwierzęcia, bardzo rzadko opuszcza w dzień swoją jamę, tylko w nocy i to najdłużej na pół godziny oddala się od niej. Jamy zakłada najczęściej w lasach, do pól przytykających. Tu wykopuje jamę 4 do 5 stóp głęboką, wyściela ją trawą, mchem i liściem, i utrzy-

muje ją w wielkim porządku, przynajmniej w większym jak inne zwierzęta, czego zaiste trudno byłoby spodziewać się po nim, sądząc z powierzchowności. Do jamy prowadzą dwa wejścia, czyli raczej ma ona wejście i wyjście, oddalone od siebie często na 30 stóp. Żywi się na wiosnę i w lecie korzeniami brzozy, kminu, kurzego ziela, żołędzią i bukwią, także ślimakami i dżdżownicami, ale szczególniej lubi owoce, buraki i wino, i na tych przysmaczkach używa w jesieni. Około św. Marcina jest zwykle bardzo tłusty. Za to na wiosnę jest znowu niezmiernie chudy, i jakże mogłoby być inaczej, kiedy przez całą zimę nic nie je, lecz prawie ciągle spi i trzymając pysk w owej torebce z tyłu, posila się własnym tłuszczem. Borsuk poluje na młode zające, na kuropatwy i cietrzewie, i jaja tychże pożera, nic więc dziwnego że myśliwi ścigają go wszędzie gdzie tylko mogą. Więc wykopują go, naganiają w sieci i żelaza itp. Bronią jego są ostre szpony i mocne zęby. Oprócz skóry, z której robią torby myśliwskie, dywaniki do obsłony kufrów itd. pożytecznem jest także jego mięso i tłuszcz.

Mięso borsucze nie wszędzie jedzą, bo ma być niesmaczne. za to tłuszcz goi rany i jak mówią przyspiesza porost włosów.

Z numerem dzisiejszym skończyło się pierwsze półrocze „Przyjaciela Dzieci." Wzywając czytelników naszych do rychłego ponowienia dalszej przedpłaty, dołączamy listy zwrotne.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5. Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktor odpow. Stanisław Nowiński. *Wydawca:* Władysław Zawadzki.

Drukiem M. F. Poremby we Lwowie 1866.